



## WSTĘPNIAK NA NOWE TYSIĄCLECIE

Myslałem o tym, co dziś napisać we „wstępniaku”... Data jest iście Kubrickowska, ale nie ma sensu po raz kolejny zastanawiać się, co z wizji SF się ziszcilo, co zaś nie – a co potoczyło się zupełnie inaczej.

Po pierwsze dlatego, że futurologia jest nauką obciążoną szczególnie wysokim „stopniem ryzyka”: przyszłość będą kształtować te elementy, których w dniu dzisiejszym **nie znamy** (któż mógł kiedyś przepowiedzieć motoryzację, film, bombę atomową, telewizję, komputer, telefonie komórkową, sieć internetową, inżynierię genetyczną – i wpływ tychże na kształt naszego życia?).

Po drugie zaś dlatego, że każde dzieło sztuki (w tym książka czy film SF) tak naprawdę mówi o człowieku, **o nas** – nie jest istotne to, że w początkach dwudziestego wieku nie najechali nas Marsjanie, a roboty z „Cyberiady” są zbudowane nie z mikroprocesorów, lecz z lamp elektronowych: **ważne jest to**, że Wells stworzył sugestywną wizję reakcji mas ludzkich na widmo totalnej zagłady, że Lem w sposób alegoryczny przyjrzał się wpływowi zmian cywilizacyjnych na ludzkie zachowania (np. wobec zalewu zbędnej informacji – mówiono o tym podczas niejednego nordconowskiego panelu), przede wszystkim zaś liczy się to, że obie przywołane tu powieści są dziełami literackimi wielkiej rangi!

Co zaś do przyszłości... Trzymam w ręku „Informator” z roku 2035 i przypominam sobie wcześniejsze losy naszego periodyku: kilkakrotnie zmieniał tytuł i formułę, z piśmka „statystycznego” przeobraził się w fanzin, miał rozmaite „edycje specjalne” i kilku różnych redaktorów naczelnych, przewinęło się przezeń wielu autorów, przekroczył setkę oraz uczył 10-lecie GKF-u, z formy ksero przeszedł na formę drukowaną oraz dorobił się mutacji internetowej, otrzymał ISSN, od jakiegoś czasu jest zszywany...

Co go jeszcze czeka?

W każdym razie pomysł, by na moim stołku zastąpił mnie wreszcie ktoś młodszy – jest chyba sensowny: szereg GKF-u młodzią, a każde pokolenie ma przecież swój własny „kod”. Wprawdzie ja też czuję się młodzieżowo – ale tą „młodzieżowością” z początku lat osiemdziesiątych. W radiu nadal najchętniej słucham starej, dobrej Trójki (Radio „Zet” i RMF FM jakoś zupełnie mnie nie ruszają i spływają ze mnie jak woda po kaczce); marzenie dzisiejszych nastolatków, telefon komórkowy, odbierałbym jako uciążliwą „smycz” – i cieszę się, że nie muszę „służbowo” posiadać tego cholerstwa (oczywiście doceniłam przydatność „komórki” np. w Tatrach, ale radości płynącej z wysyłania SMS-ów nijak pojąć nie mogę). Taki już widać jestem, z natury... Nie wiem, jakiej stacji radiowej słucha Michał Szklarski; nie wiem też, jaki jest jego stosunek do wytworów telefonii komórkowej – ale ja naprawdę widzę w tym młodym i zdolnym człowieku następnego redaktora naczelnego „Informatora GKF” (oczywiście po skończeniu przezeń pierwszego roku studiów: z własnego doświadczenia wiem, jak czasochłonny to okres w życiu!).

A na razie – przed nami lektura pierwszego „Informatora” w tym wieku!...

JPP

PS.

Bardzo zależało nam na tym, żeby poprzedni numer „Informatora” trafił do Waszych rąk najpóźniej przed Sylwestrem. Niestety; jakiś nowy wirus dokonał masakry w przygotowanych już komputerowo materiałach, Mama Kaczka i Papier musieli szybko wpisywać z wydruków całe teksty (dobrze, że takie opracowanie robocze się zachowało!) – i stąd ten poślizg... Wróć, stary i pocziwy, „chochliku”!

## STYCZNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się w dniu 20 stycznia 2001r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

### I. SPRAWY ORGANIZACYJNE

#### 1. Sprawa Walnego Zebrania

Zarząd ustalił termin i miejsca Walnego Zebrania Sprawozdawczo-Wyborczego – niedziela 25 marca 2001 r., godz. 12.00, Klub Osiedlowy „Maciuś I”. Delegaci klubów lokalnych w ilości 1 delegat na każdych 5 członków klubu (z zaokrągleniem w górę) mają zostać wyznaczeni przez prezesów KL do końca lutego (wg stanu z lutowego posiedzenia Zarządu).

#### 2. Końcowe podsumowanie Nordconu 2000

Wnioski: Nordcon 2000 organizacyjnie należy uznać za udany; Nordcon 2000 zakończył się deficytem ok. 1200 złotych.

#### 3. Sprawa Nordconu 2001

Nordcon 2001 (15-ty Jubileuszowy) rozpocznie obchody 15-lecia Gdańskiego Klubu Fantastyki. Koordynatorem Nordconu 2001 został Krzysztof Papierkowski, jego zastępcami Piotr Mazurowski i Bogusław Gwozdecki. Miejsce i termin: 5-9 IX (dzień dłużej niż zwykle), „Hutnik” Jastrzębia Góra.

#### 4. Podsumowanie działalności Gdańskiego Klubu Fantastyki za rok 2000

Prezes GKF w krótkich, żołnierskich słowach podsumował działalność Klubów Lokalnych, Działów GKF oraz wybranych działaczy (osoby o mocnych nerwach mogą zapoznać się z protokołem z posiedzenia Zarządu, który jest dostępny w sekretariacie GKF).

### II. SPRAWY PERSONALNE

#### 1. Zmiany funkcyjne

– z funkcji zastępcy szefa Działu Filmowego zdjęty został Maciej Gnijański, na jego miejsce mianowano Sławomira Zarembe;

– Zarząd KF „Brethren” mianował Macieja Bulandę wiceprezesem KL, a Agatę Kozłowską sekretarzem i skarbnikiem KL.

#### 2. Nadanie członkostwa specjalnego GKF

Na wniosek prezesa prezesa GKF Zarząd jednogłośnie nadał członkostwo specjalne Katarzynie Manikowskiej.

#### 3. Zakończenie stażu kandydackiego

Staż kandydacki zakończyli i zostali członkami zwyczajnymi:

KF „Inglot” – Agata Słonimska, Agata Ośrodek

SKF „Ubik” – Mariusz Kuźma, Artur Panek, Małgorzata Woźniak.

#### 4. Skreślenia z listy członków GKF

Na własną prośbę zostali skreśleni:

PKMF „Legion” – Paweł Kotkowski, Marcin Kaczor.

SKF „Ubik” – Przemysław Gołębiowski, Anna Zygmunt.

Za postępowanie niezgodne ze Statutem GKF (niepłacenie składek) zostali skreśleni:

KF „Brethren” – Rafał Niedziela, Paweł Chwin.

#### 5. Przeniesienia

Katarzyna Manikowska została przeniesiona z EKFT „First Generation” do KCzK.

#### 6. Urlopy organizacyjne

Zarząd przedłużył urlop Marcinowi Borowskiemu (Brethren) na I kwartał 2001 roku.

Zarząd udzielił urlopu Maciejowi Gnijańskiemu na I kwartał 2001 roku.

**6. Anulowanie skreślenia z listy członków GKF**

KF „Angmar” – Maciej Gnlański

**III. SPRAWY FINANSOWE**

1. Zarząd zatwierdził wydatek (ok. 1000 zł) na wykonanie nowych metalowych znaczków GKF-u (jednogłośnie). Ustalona cena za znaczek (tylko dla członków GKF-u, którzy swój zgubili – 6 zł).
2. Zarząd uchwalił (przy jednym głosie wstrzymującym – P. Mazurowski) podniesienie opłaty wpisowej dla nowych członków. Ustalono kwotę w wysokości 13 zł (kwota ta pokrywa koszt znaczka i legitymacji GKF) – wchodzi w życie z dniem 2001-01-22.
3. Skarbnik GKF omówił składkoplatość za IV kwartał 2000 r. oraz I kwartał 2001 r.
4. Skarbnik GKF przedstawił stan subkont KLów.

**IV. PRACA KOMISJI REWIZYJNEJ**

1. Kontrola Działu Bibliotecznego – trwają prace nad sprawozdaniem końcowym, które zostanie przedstawione do akceptacji na następnym posiedzeniu zarządu.
2. Dział Kolportażu – kontrola zostanie przeprowadzona 3 lutego.
3. Sekcja Gier Strategicznych – kontrola zostanie przeprowadzona 28 stycznia.
4. Sekcja Gier Karcianych – kontrola zostanie przeprowadzona 28 stycznia.
5. Sekcja Paintballa – kontrola zostanie przeprowadzona w lutym.
6. Dział Filmowy – kontrola zostanie przeprowadzona w drugiej połowie lutego.
7. Sekretariat – kontrola zostanie przeprowadzona 10 marca.
8. Finanse – kontrola zostanie przeprowadzona przed 17 marca.

**V. IMPREZY**

1. Nordcon 2001 – wstępna awizacja (miejsce i termin: 5-9 grudnia 2001 r., „Hutnik” Jastrzębia Góra).
2. Turniej Karciany Magic: the Gathering – 17-18 lutego 2001 r., KO „Maciuś I”.
3. Sympozjum Literackie „First Generation” – „Hutnik” Jastrzębia Góra, 23-25 lutego 2001 r. – akredytacja 5 zł, noclegi (2) po 25 zł, autokar ok. 15 zł, obiady (2) po 10 zł.
4. Konwent 3con (nazwa robocza) – Gdańsk, 22-24 czerwca 2001 r.

**FOR EVER!**

(a przynajmniej do końca tego Milenium)

Naszym wspaniałym Przyjaciołom  
– liderom Śląskiego Klubu Fantastyki  
**Eli Gepfert i Piotrowi W. Cholewie**  
życzymy  
„zdrowia, szczęścia, pomyślności,  
fantastyki i miłości”

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

**URODZINY**

Lutowym i marcowym urodzeńcom  
życzymy wschodnim zwyczajem:  
**Доброй Вам фантастики!**

Redakcja „Informatora”

**LUTY**

- |                        |                        |
|------------------------|------------------------|
| 2 Marek Michowski      | 19 Jarosław Pawłowski  |
| 4 Mariola Pocziarska   | 20 Mariusz Kuźma       |
| Andrzej Puszkiewicz    | Patryk Towalski        |
| Tomasz Ptasznik        | 21 Kamila Pozańska     |
| Rafał Sztuka           | 24 Krzysztof Bielawski |
| 10 Justyna Damięcka    | Dariusz Szymański      |
| 12 Piotr Wyszomirski   | 25 Urszula Lisowska    |
| Marcin Zajdel          | Andrzej Młynarz        |
| 13 Krzysztof Bach      | 26 Rafał Tyszecki      |
| 15 Wojciech Berezowski | 27 Paweł Kozik         |
| Aleksander Deptuła     | 28 Lucyna Borycka      |
| 16 Lesław Olczak       | Agata Koc              |
| Mieczysław Sierociński | Natalia Młynarz        |
| 18 Michał Siudek       | Andrzej Prószyński     |

**MARZEC**

- |                      |                          |
|----------------------|--------------------------|
| 3 Paweł Cetnerowski  | 14 Arkadiusz Stankiewicz |
| 5 Maciej Bałasz      | 16 Janusz Więcek         |
| 7 Bogusław Gwozdecki | 21 Rafał Zaborowski      |
| 9 Grzegorz Jaworski  | 23 Mariusz Kręczyński    |
| Sławomir Wojtowicz   | Jacek Skorupski          |
| 12 Rafał Dintar      | 29 Maciej Kunysz         |
| Mateusz Waligórski   | 31 Rafał Nowara          |



## Same plusy



Tegoroczny Nordcon zgromadził znacznie mniejszą grupę uczestników niż w latach ubiegłych. Wynikały z tego same plusy. O minusach mi na razie nie wiadomo, choć głupia nie jestem i przypuszczam, że z tego powodu organizatorom impreza mogła „się nie zwrócić”.

Plusy to przede wszystkim kameralność spotkania. Tak rodzinnej, by nie rzec intymnej, atmosfery nie przypominam sobie z żadnego z poprzednich konwentów, w których brałam udział (nie tylko Nord-). Do Hutnika zjechali przeważnie starzy znajomi (nie o datę urodzenia mi chodzi). Brataniom się, obejmowaniom i poklepywaniom po plecach, tudzież wspominkom z leżką w oku nie było końca.

Rywalizacje nie miały charakteru rywalizacji. Ani konkursowe między klubami, ani indywidualne. Mam tu na myśli np. wyścig do stołka szefa Fandomu, czy choćby turniej o tytuł największego mądrali w dziedzinie fantastyki (konkurs się odbył z braku chętnych).

Żadne sabotaże w postaci gazów łzawiących nie wchodziły w rachubę. Znaczący się - gównażerii nie było. Sami się wyeliminowali, dochodząc do wniosku, że nie ma zabawy, jeśli się komuś robi złośliwe psikusy, czy też organizatorzy odłowili i wyselekcjonowali tych drani. W każdym razie pensjonariusze Hutnika byli to sami poważni (podkreślam - poważni, a nie ponurzy) ludzie, którzy przybyli do Jastrzębiej, żeby przyjemnie spędzić parę dni, w oderwaniu od szarego kieratu codzienności.

Odnosiło się wrażenie, że w stosunku do lat ubiegłych wzrósł odsetek konwentowiczów płci żeńskiej. Nie wiem, czy to skutek rosnącego zainteresowania fantastyką u tej płci, czy też chłopaki zaopatrzyli się w partnerki na okoliczność balu sylwestrowego? W każdym razie był to sympatyczny element w krajobrazie Hutnika, zwłaszcza podczas tanecznych hulank. A i gra w piłkę wodną na basenie nabrała miłszego kolorytu.

Organizatorzy byli jakby mniej spięci. Może dlatego, że było nas tak mało? Może z powodu, że uczestnicy stanowili grupę naprawdę zaprzyjaźnionych z GKF-em fanów? A może po prostu dlatego, że nie pilnował ich - jak zwykle wszędobylski i nieprzyzwoicie chłodno-trzeźwy - Albert.

Happeningi wymyślane ad hoc nie przechodziły niezauważone, gdyż wszyscy zbierali się razem, okupując te same miejsca, i było wiadomo, gdzie taki happening ma zaistnieć. Ubaw więc mieli i inicjatorzy zdarzenia, i jego publiczność.

Nikt nikomu nie wysuwał ultimatów ni zarzutów, które mogą stanąć na wokandzie sądowej. Nie było więc szeptania po kuluarach, doinformowywania niedoinformowanych, sprzecznych sygnałów co do racji osób stanowiących strony konfliktu. W ogóle nie było konfliktów ani odmiennych stanowisk - w żadnej z kwestii status quo Fandomu! Różnice zdań objawiały się wymianą poglądów na tematy literackie, filmowe, filozoficzne i... o pewnej części ciała pewnej Maryni, który to temat zawsze integruje, jako że wszyscy mamy coś do powiedzenia o erotyce. Ech, te „długie nocne Polaków rozmowy...” Potrafią naładować energią na kilka miesięcy, może nawet do następnego Nordconu?...

B.B.

## Ponordconowe impresje

**Terroryzm** zdaje się eskalować z konwentu na konwent. Jeszcze parę lat temu kroniki nordconowe milczały na temat porwań, żądania okupów itepe. Już w roku ubiegłym zanotowano incydent o uprowadzeniu windy z dwójką zakładników. Przypomnijmy - żądania porwawcy ograniczały się wówczas do dwu piw, a zakładnicy traktowani byli nader delikatnie, jeśli nie liczy prób (nota bene - nieudanych) wywołania u nich objawów choroby lokomocyjnej. Ultimatum przestępców zostało spełnione przez przypadkowych pasażerów windy.

Tym razem terroryści, rozzuchwaleni udaną akcją swych poprzedników, zaplanowali kidnaping z rozmachem. Żądania wzrosły do czterech(!) piw oraz sporej kwoty pieniędzy i uwolnienia jakichś „braci”. W dodatku „odkupicielem” miał być sam Piotr. M., osoba w końcu nie-przypadkowa. Na szczęście imprezę jastrzębską obstarwiała super wyszkolona ochrona, która okazała się skuteczna w roli brygady antyterrorystycznej. Czy prawdą jest, jakoby jednym z terrorystów okazał się powszechnie znany Krzysztof P.?- tę kwestię, miejmy nadzieję, rozjaśni nam najlepiej poinformowane źródła, czyli dziennikarze filmujący i obfotografowujący całe zajście.

**Twórczości dramaturgicznej** Przewodasa daleko do dzieł miary Szekspira, czy choćby naszego rodzimego Wyspiańskiego (obaj też sięgali do wątków antycznych). Niemniej spektakl przygotowany przez SKF, w którym w pierwszoplanowej roli wystąpił gościnnie Papier, zgromadził sporą widownię. Z całości zdarzenia publiczności najbardziej utkwiła w pamięci - uhonorowana zresztą brawami przy tzw. „otwartej kurtynie” - kwestia głównego bohatera: „Jestem Bogiem!”. W ogóle z całej obsady sztuki Ramzes wypadł zdecydowanie najlepiej, tak pod względem talentu, jak i warsztatu aktorskiego (ten głos, ta dykcja!...). Pomyślałby kto, że do roli boskiego faraona przygotowywał się całe życie. No, ale w końcu to „dwór czyni króla, a nie odwrotnie” - jak mawiają starzy wyjadacze teatralni.

A swoją drogą, pomyśl na zaistnienie teatralnej formy wśród innych konwentowych atrakcji, wart jest pochwały. Kto następny?

**Bankietem** oznaczonym trzema gwiazdkami okazał się bankiet wydany przez koleżankę Anię, mieszkankę Trójmiasta, wieloletnią bywalczyńnię Nordconów. Sobotnim popołudniem na czwartym piętrze „Hutnika” raczono się pieczonymi kurczakami, niezliczonymi gatunkami serów, salami, ciastami domowego wypieku... - nie sposób wymienić tych wszystkich specjalów, które Ania serwowała, obficie doprawiając je sosem osobistego wdzięku i uśmiechu dobrej wróżki, która cukierkami napychała kieszenie opuszczających jej lokum gości (z żalem, bo inne konwentowe obowiązki wzywały). Impreza sylwestrowa w porównaniu z Anią wypadła błado i nijak. Niech żałuje, kto tam nie był. Nazwisko Ani? Ha! Sami w przyszłym roku dojdźcie, kto to jest. Do zobaczenia przy Aninej szarlotce!

B.B.



## NIUSY

### ZASIĘGNIĘTO NASZEJ OPINII

Gdański Klub Fantastyki, jako stowarzyszenie kulturalne, otrzymał oficjalne pismo dotyczące Nagrody Artystycznej za rok 2000 (fundowanej przez Pomorską Radę Kultury, a typowanej przez Nadbałtyckie Centrum Kultury).

Procedura jest następująca: instytucje i stowarzyszenia kulturalne z całego województwa pomorskiego wypełniają ankietę z propozycjami personalnymi w różnych dziedzinach (debiut, literatura, teatr, plastyka, muzyka, wydarzenie, całokształt twórczości, mecenat, kultura regionalna); z tych wszystkich kandydatur Pomorska Rada Kultury wskazuje po trzy nominacje w każdej dziedzinie; spośród tych wskazanych nominacji - laureatów wybiera Kapituła Nagrody (powołana przez Marszałka Województwa i Wojewodę).

Ankietę wypełniliśmy i odesłaliśmy. Nie ograniczaliśmy się do kręgu SF (byłoby to zresztą niemożliwe) - wskazaliśmy np. i właścicielkę galerii promującej sztukę współczesną, i założyciela chóru wykonującego muzykę klasyczną, i fotografa prezentującego piękno Kaszub - ale wytypowaliśmy też np. Radka Kleczyńskiego jako autora znakomitych scenariuszy do „Kica Przystojniaka” oraz Jurka Szyłaka jako niestrudzonego propagatora sztuki opowiadania obrazkami.

Nawet jeśli nie będą oni nominowani czy nagrodzeni - zwrócimy uwagę luminarzy kultury „wysokiej” również na inne obszary sztuki, dotąd niezauważane bądź lekceważone...

jpp

### „WŁADCA PIERŚCIENI” NA GWIAZDKĘ

Elijah Wood, sir Ian McKellen, Liv Tyler, Viggo Mortensen, Sean Astin, Cate Blanchett i John Rhys-Davies to obsada trwającej w Nowej Zelandii superprodukcji. Na stronie [www.lordoftherings.net](http://www.lordoftherings.net) można już zobaczyć trailer. Z krótkich dwóch minut ciężko wnioskować cokolwiek o filmie, rzuca się jednak w oczy wspaniała przyroda antypodów i naprawdę doskonale zdjęcia. Na moment pokazuje się też Elijah Wood - na pierwszy rzut oka całkiem sympatyczny niziołek. Fragment muzyki również brzmi nieźle - szkoda, że zrezygnowano ze współpracy z Wojciechem Kilem, który z pewnością poradziłby sobie nie gorzej!

Znany jest już kalendarz wchodzenia poszczególnych części do kin - w przeciwieństwie do „Gwiezdnych wojen”, na których kolejną część czekać trzeba trzy lata, tutaj odstępy będą wynosić rok. „Kompania Pierścienia” będzie miała premierę przed tegorocznym Bożym Narodzeniem, „Dwie wieże” - na gwiazdkę 2002, a „Powrót króla” - na gwiazdkę 2003 r.

Dystrybutorem „Kompanii Pierścienia” w Polsce będzie nowa firma Kino Świat International. Jej dyrektor „zapewnia, że Kino Świat dołoży wszelkich starań, żeby film ten pojawił się w polskich kinach w dniu jego światowej premiery - 19 grudnia”

MiSz

### HODUJEMY ORGANY

Nie cichną kontrowersje wokół zezwolenia przez brytyjski parlament na pobieranie komórek ze wczesnych płodów i hodowanie z nich ludzkich organów. Hodowanie ludzi zostało, oczywiście, zabronione, a nowe techniki medyczne pozwolą na skuteczniejsze leczenie na przykład nowotworów. Mimo to pozostają wielkie wielkie wątpliwości etyczne, a fakt, że możliwe jest już zaprogramowanie w pewnym stopniu przyszłego dziecka, napawa dreszczem.

MaSz

## POŻEGNANIE ZE STARUSZKIEM MIR-em!

Stacja kosmiczna MIR zakończy wreszcie działalność. W drugiej połowie stycznia rosyjscy kosmonauci przywrócili jej sterowność, a następnie bezałogowy prom towarowy „Progress” dostarczył stacji paliwo niezbędne do zmiany orbity. Początkowo termin przesuwano, licząc na stworzenie „hotelu kosmicznego”. Teraz jednak, gdy plany te nie wypaliły, ma to być naprawdę ostatni moment działania pierwszej stacji kosmicznej w historii ludzkości (pierwszy modul znalazł się na orbicie w 1986 roku). 6 marca większość stacji spłonie w atmosferze, reszta ma runąć do Pacyfiku kilkaset kilometrów od Nowej Zelandii.

MiSz

## CYBORGOWANIE PRĄDEM

Naukowcy z Rosji, Francji i Belgii eksperymentują z DNA, próbując sprawić, by komórki przewodziły prąd. Jest to prawdopodobnie możliwe w wypadku w wypadku ich ochłodzenia do temperatury  $-270^{\circ}\text{C}$ ; w dotychczasowych eksperymentach tkanki zachowywały się wtedy jak nadprzewodniki. Jest to pierwszy krok do stworzenia cyborga, aczkolwiek minie jeszcze wiele czasu, zanim każdy z nas będzie mógł zakupić swojego prywatnego Robocopa.

MaSz

(NOVA Science & Technology News, BBC)

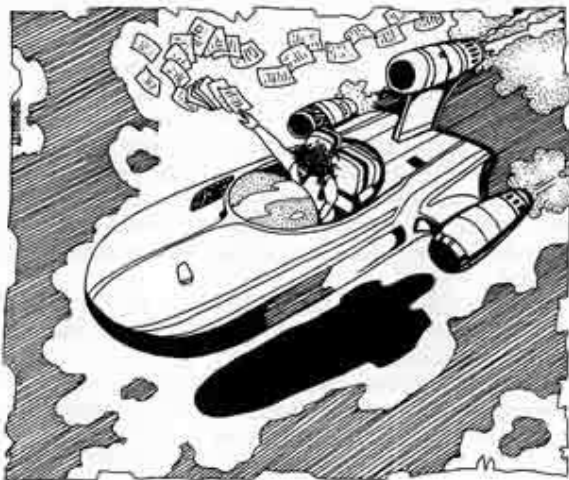
## „AQQ” JEST KWARTALNIKIEM!

W grudniu ukazał się 22. nr komiksowego proziny z Poznania. Jak zwykle – świetny! Dodatkową atrakcją jest kalendarz-plakat z „Mikropolis”.

Na rok bieżący zapowiadane są również 4 numery (23. w marcu, 24. w maju, 25. we wrześniu, 26. w grudniu). Można już teraz zaprenumerować je wszystkie, wysyłając „czerwonym przekazem” 48 zł. do „Zin Zin Pressu” (Witold Tkaczyk, ul. Nowina 15, 60-589 Poznań).

A czy kupiliście już znakomitą antologię Kołodziejczaka „Komiks polski”?

jpp



## „Tak się bawi, tak się bawi G-K-F!”

W tym roku razem z innymi członkami Angmaru zdecydowaliśmy się zabawić na Sylwestrze w Maciusiu, witając Nowy Rok w szaczącym gronie takich sław, jak Papier czy Mama Kaczka. Różia wziął się ostro do roboty i zebrał 14 osób do naszego stolika. Oferta była atrakcyjna, gdyż Sylwester kosztował tylko 50 zł od osoby, a w zamian dostawało się szampan i napoje (bezałkoholowe).

Gdy zobaczyłem moją osobę towarzyszącą, to serce mi mocniej zabiło. Te oczy, te kształtne nogi, pośladki. Tak, Forest był uosobieniem męskości. Zdecydował się ubrać muszkę (a nie krawat), co prawie okazało się tragiczną pomyłką.

Gdy przybyliśmy na salę niosąc kurczaka, większość osób była już obecna. DJ zaczął grać, a my zaatakowaliśmy kurczaka. Szybki toast „łódką” na trawienie i zabawa zaczęła się rozkręcać. Podczas pierwszej przerwy zakupiliśmy po losie na loterii. Wygrałem znaczek z gołą babą. Chyba mnie gołe baby prześladowają (nie żebym narzekał), gdyż na Nordconie wygrałem taki fajny komiks (osoba, która mi go ukradła, niech go lepiej odda!).

Podczas drugiej przerwy odbył się konkurs wiedzy o GKFie. Ponieważ Papier ostrzegł nas, że musimy startować, więc wcześniej odbyliśmy kilka rejsów. Konkurs wygrał wiceprezes Angmaru (otrzymał szampana oraz darmową akredytację na Nordcon 2001), drugie miejsce zajął szef Działu Filmowego, szef Biblioteki natomiast był mizerny.

Impreza dalej się kręciła aż do 23:15, kiedy zaczął się konkurs na Imperatora i Imperatorową Galaktyki. Do konkursu wybrano czterech panów i cztery panie, które losowo dobrano w pary. Konkurs rozpoczął się spokojnie – konkursem tańca Rock-and-Roll. Po tej pierwszej konkurencji odpadła jedna para. Drugi konkurs był bardziej złożony – pani mdlała, pan ją przenosił na rękach i reanimował. Do tej konkurencji jeden z uczestników zabrał się z takim zapalem, że było słychać zgrzytanie zębów jego dziewczyny. Drugi zaś doznał złamania kości stopy (!) i odpadł z walki. Ostatnią konkurencją był konkurs wiedzy o galaktyce i byłoby to dosyć nudne zakończenie konkursu. Jednak skandowanie „Dać im szansę”, zachęciło Papiera do zaproponowania konkurencji finałowej i do uzyskania zgody od uczestników. Konkurencja była prosta – ułożyć jak najdłuższy ciąg ze swoich ubrań (Papier oczywiście dorobił do tego ideologię: Imperatorska para została uwięziona i czeka na dekapitację. Jedyne ratunek to powiązać ubrania i opuścić się na dno przepaści). Zaczęło się powoli – buty, skarpetki, szal. Zabawa jednak się rozkręciła i na ziemię poleciały spodnie, koszule, podkoszulki, zegarki, biustonosze i rajstopy. Na końcu wyciągnięto sznurówki z butów – i tak Forest i narzeczona Kamila dostali korony.

Po toaście na Nowy Rok wybiegliśmy na dwór, gdzie czekały tłumy członków GKF (bawiący się gdzie indziej) w postaci Agaty. Obejrzelśmy fajerwerki, wypiliśmy szampany i składaliśmy sobie życzenia.

Dalsza impreza była ciekawa – choć bez emocji. Odbył się finał loterii (byłem nieobecny i nie wiem co było nagrodą). Różia w loterii wygrał „Conana – Szymierza” (czekamy na recenzję w „Informatorze”) i ludzie zaczęli normalnie bawić się do rana.

Ceti



Artur C. Clarke

## „W wigilię 2001 roku, czyli historia pewnej odysei, która wstrząsnęła pokoleniem”

Na początek muszę coś wyjaśnić do końca, jak lubił mawiać pewien amerykański prezydent (robić cokolwiek to on raczej nie lubił...). Tytuł „2001: Odyseja Kosmiczna” nie jest mój, lecz Stanleya Kubricka. Jest już za późno, aby go zapytać, czy zdawał sobie sprawę wtedy, w latach 60., że rok 2001 to początek nowego milenium. Ja na pewno nie.

„Podróż poza gwiazdy” – taki był pierwszy oficjalny tytuł projektu; a zaczęło się wszystko w roku 1964, kiedy to wybrałem się do Stanów Zjednoczonych z mojego domu na Cejlonie. Stanley napisał mi w liście, że chce zrobić „chołernie dobry film *science-fiction*!” – i zapytał, czy mam jakieś pomysły. Kupił sześć moich opowiadań ...i rok później skupiliśmy się tylko na jednym: „Posterunku” („*The Sentinel*”).

Teraz, gdy już niemal mamy rok 2001, zainteresowanie filmem jest większe niż kiedykolwiek. Fundacja na rzecz Goryli Diane Fossey (której patronuję wraz z Sigourney Weaver) niedawno rozpoczęła program „2001: Odyseja Małp” – w nadziei, że uda się ocalić naszych pozostających przy życiu krewnych. A NASA nazwała swój przyszły program marsjański „2001: Odyseja Marsjańska”.

Jak zrozumieć tak niesłychany żywot dzieła, kiedy większość książek (i filmów) *s-f* tak szybko się starzeje? Jedną z najtrafniejszych odpowiedzi jest ta, że Stanley Kubrick był jednym z największych geniuszy w historii kina. Jednocześnie film trafił w swój czas: publiczność zorientowała się, że podróże kosmiczne nie są już fantastyką.

Prezydent Kennedy zarządził, że Stany Zjednoczone polecą na Księżyc jeszcze „w tej dekadzie”. Kiedy Apollo-8 krążył wokół Księżyca na Gwiazdkę 1968 roku – jego załoga już widziała film. Nigdy im nie wybaczyłem, że oparli się pokusie ogłoszenia odkrycia czarnego monolitu na Ciemnej Stronie.

Stanley powiedział mi kiedyś, że jego celem było stworzenie „epickiego mitu o chwale”... i udało mu się to! Mit powinien być niewyczerpany – i od samego początku ludzie klócili się o znaczenie filmu.

Rock Hudson wypadł z pokazu premierowego z żądaniem „czy ktoś mi powie o co w tym wszystkim chodzi?” A kiedy poleciałem do Stanów w 1969 roku, oficer imigracyjny zajrzał w mój paszport i powiedział: „nie wpuszczę Pana, dopóki nie wyjaśni mi Pan zakończenia filmu”. Moją zwyczajową odpowiedzią jest: „obejrzyj film, przeczytaj książkę; dawkować do skutku”.

Często oskarżano mnie o to, że zbyt wiele wyjaśniłem w książce i jej trzech kolejnych częściach, ale jest to zarzut, który łatwo odrzucam. Podczas gdy zadaniem filmorobów jest pokazywanie obrazów na ekranie, pisarz musi oddać słowami wszystko to, co jest konieczne do uruchomienia wyobraźni czytelnika. A to może wymagać wielu stron – radzę kiedyś samemu spróbować...

Czymś, co mogłem zrobić w powieści, a czego raczej nie próbował film, było wyluszczenie konkretnej przyczyny buntu HALa. Teraz jest to tematem zaawansowanych studiów akademickich (np. „Spuścizna HALa”, wyd. przez Massachusetts Institute of Technology Press w 1997 r.). Wśród stawianych tam pytań są: „Kogo obwiniać za zabójstwa HALa?”, „Kiedy HAL zrozumie naszą mowę?” i „Czy HAL płacze cyfrowymi łzami?”



Prawie jedynym epizodem z filmu, który wydawał mi się nieprawdopodobny, jest słynna scena, gdy HAL czyta z warg dwóch astronautów – wierzących, że prowadzą poufną rozmowę. Obecnie, ku mojemu sporemu zaskoczeniu, odkrywam, jak wielkiego postępu dokonano w tej dziedzinie. Według wydawcy książki [„Spuścizna HALA”], Davida G. Storka: „Nie przewidujemy żadnych większych utrudnień w zakresie rozwoju systemów odczytujących mowę” – chociaż przyznaje on, że może to potrwać jeszcze dekady. Zostaliście jednak ostrzeżeni!

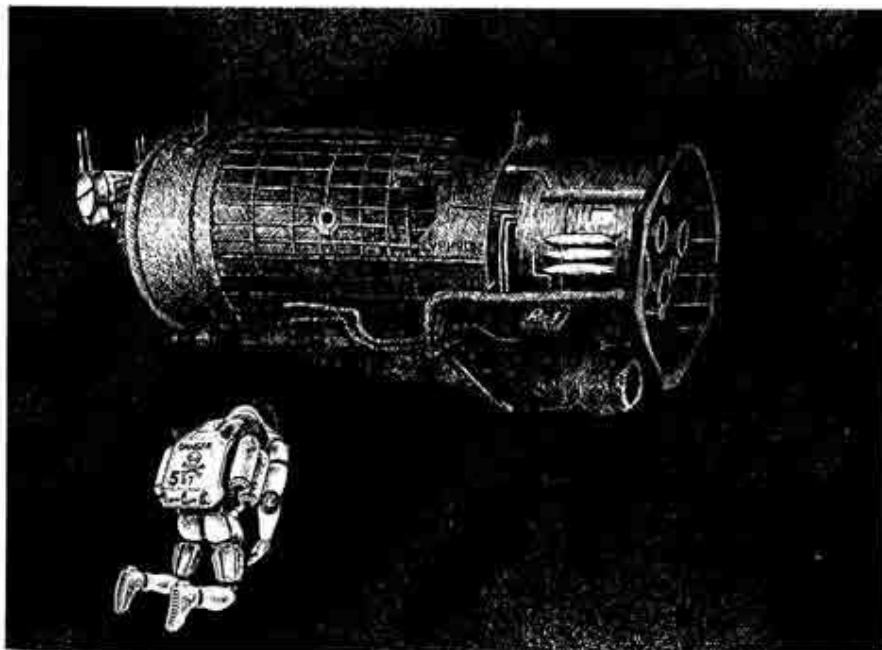
Fakty i fikcje mieszają się obecnie ze sobą, nawet pomimo tego, że eksploracja Systemu Słonecznego jest opóźniona w stosunku do optymistycznych założeń „Odysei 2001”. Ja jednak nie jestem rozczarowany. Nasze sondy – prekursorzy HALa – odwiedziły wszystkie planety oprócz Plutona. Coś, co kiedyś było bezwymiarowym punktem światła na niebie, obecnie stało się realnym miejscem. Miliony ludzi obserwowały małego *Sojournera* hasającego po marsjańskich plenerach i wysyłającego krystalicznie przejrzyste obrazy, jakich nie spodziewałem się ujrzeć w moim życiu.

Wracając na Ziemię – nie spodziewałem się też, że ponownie odwiedzę pokój 1008 w słynnym hotelu Chelsea w Nowym Jorku, gdzie powstała większość „Odysei 2001”. A to właśnie zdarzyło się kilka miesięcy temu. Poczulem się otoczony przez duchy wszystkich tych pisarzy, którzy tu mieszkali – Thomasa Wolfe’a, Allena Ginsberga, Williama Borroughsa, Dylana Thomasa....

A najbardziej przypominał mi się Stanley, który codziennie przyjeżdżał do centrum miasta i zabierał maszynopis naszej epickiej – mieliśmy nadzieję! – opowieści. Jakże żałuję, że nie dożył tego roku, który stał się Jego rokiem...

ACC

[tekst ukazał się w „The Times” 30 grudnia 2000 r.]  
/tłum. ajja/



## Kultury! Kultury!

1. I znowu postanowiłem zapisać parę swoich przemyśleń, i oczywiście znowu mam zamiar się nimi z wami podzielić. Tym razem, w efekcie inspiracji pewnym artykułem, będzie o kulturze, o jej przeszłości, przyszłości i o tym, co ma z nią wspólnego fantastyka (i w ogóle cała literatura).

2. Kultura, szczególnie tak zwana wysoka, opiera się na szlachetnym snobizmie: odpowiednie grupy społeczne traktują ją jako swój wyróżnik w stosunku do pozostałej części społeczeństwa. W przeszłości szlachta i arystokracja pełniły dla tej przyczyny funkcję mecenasów, a do kanonu wartości salonowych należało chodzenie do teatru, opery i filharmonii – właśnie dzięki temu możliwe było powstanie dzieł Kochanowskiego i Mozarta.

3. Pod koniec XIX-ego wieku, wraz ze zmierzchem kultury szlacheckiej, mecenas właściwie zanikał. Dzięki szkolnictwu zaczęła się wtedy pojawiać publiczność masowa, a wraz z nią, szczególnie po I-jej wojnie światowej – możliwość utrzymania się pisarza (oczywiście dobrego) ze sprzedaży książek. Zaczęły o tym decydować gusty niezbyt wyrobionej publiczności, wciąż jednak obowiązywał szlachetno-snobistyczny kanon lektur: znajomość Prousta i Baudelaire’a była wyróżnikiem klasy inteligentnej.

4. Po wojnie kultura została skopana, zmaltretowana i wrzucona do śmietnika, by tam zdychała. Zgodnie ze sławną decyzją zjazdu literatów ze stycznia 1949 r. – zaczęto tworzyć odgórnie całkowicie nową kulturę, uświadamiającą tych biednych ludzi, którzy nie poznali jeszcze cudownie prostych wyjaśnień świata oferowanych przez materialistyczną religię marksistowską. Całkowicie nowa kultura proponowała całkowicie nową moralność i całkowicie nowe wartości: Proust zrównany został z chlewa, a za jego czytanie wyrzucało się dzieci ze szkoły. Bożyszczami stały się natomiast prymitywy, które masowo dorwały się do władzy i decydowały o literaturze. W efekcie społeczeństwo całkowicie odwróciło się od opowiadań o przodownikach pracy wprowadzających leninowską zasadę dyktatury proletariatu, i w dużej mierze do tej pory traktuje tak całą literaturę (przekazując dzieciom odstręczający stosunek do niej).

5. Po kilku latach socrealistycznego przejeżdżania walcem po w choćby najmniejszym stopniu wartościowej twórczości literatura nigdy się już na dobre nie podniosła. Jako tako rozumiała, a nawet regularnie czytywała literaturę już tylko szeroko pojmowana inteligencja, a i to w zasadzie siłą rozpędu. Na dodatek nałożyły się na to kryzys wartości i zanik pojmowania technicyzowanego i chaotycznego świata przez pisarzy. Nie kończące się opowieści o Litwie – Kraju Lat Dziecinnych i informowanie czytelnika o tym, że autor też nie rozumie świata dookoła (ucieczka od skomplikowanej rzeczywistości, *vide* Konwicki), oraz całkowite ignorowanie problemów współczesnego człowieka (nie tylko ze względu na cenzurę) spowodowały ogromny spadek atrakcyjności i autorytetu (a to jedna z jej najważniejszych cech!) literatury. Zanikła hierarchia wartości, zanik więc i szlachetnie snobistyczny kanon lektur. W latach 70-ych niewiele osób przejmowało się już nawet tak słynnymi książkami, jak „Dżuma” Alberta Camusa. Pojawił się chaos, zabrakło jakichkolwiek społecznych zwyczajów i nakazów czytelnictwa.

6. Masakry literatury dopełniła polityka kulturalna PZPR w ostatnich kilkunastu latach komunizmu: zabraniając pisać o rzeczywistości, zezwalano na tak zwany „eksperyment formalny”. Eksperyment formalny był – jak to trafnie określił Konwicki – stawianiem zdań bez znaków przestankowych, a mówiąc wprost – pozbawionym jakiegokolwiek sensu i wartości totalnym bełkotem ludzi przekonanych o swojej kongenialności, artyzmie i misji dziejowej. Najgorszy był jednak – i jest – fakt, że taki sposób widzenia twórczości przeniknął na dobre dwadzieścia lat (ostatnio sytuacja się, na szczęście, zmienia) do krytyki literackiej, co oznaczało prawie całkowity sukces destrukcyjnej polityki komunistów. Powszechnie

zaczęła ona (krytyka) wydawać według niego wyroki o jakości książek. Wobec wsparcia jej autorytetem podobnych teorii trudno się dziwić, że 90 procent dzisiejszej polskich pisarzy konsekwentnie wypina się tylną częścią ciała na czytelników, i jeszcze jest z tego dumna. Wielu autorów, oczywiście podobnie jak krytycy, jest święcie przekonanych, że to, co w literaturze wybitne – z samej definicji musi być niezrozumiałe dla czytelników. Tego, że jest to fenomenalnym wprost wytłumaczeniem całkowitego braku wyczucia potrzeb czytelnika, nieudolności w konstruowaniu prostych, jasnych, logicznych zdań i tworzenia przeintelektualizowanego bełkotu, tłumaczyć chyba nie trzeba.

7. Ideologii eksperymentu formalnego oparła się, na szczęście, fantastyka, sprzeczna z nią z definicji (podstawowa funkcja – rozrywkowość). Również ze względu na swoje właściwości – na kosmiczne historie, nawet alegoryczne, przymykano oko – stała się ona, paradoksalnie, praktycznie jedynym obrazem rzeczywistości końca lat 70-ych i lat 80-ych; nie jest chyba przesadą stwierdzenie, że była wtedy jednym z najważniejszych nurtów kultury. Nie są przypadkiem dzisiejsza pozycja fantastyki i zaangażowanie literackie jej fanów – **był to po prostu jedyny gatunek, którego komunistom nie udało się do szczeru obrzydzić czytelnikom.** To dlatego fantastyka – pisana zwyczajnie, zajmująco, bez absurdalnych stylizacji, i z bardzo przyzwolłą tradycją – jest dziś jednym z najciekawszych i najwyższych prądów literackich. To dlatego książki najlepszych pisarzy – Andrzeja Sapkowskiego, Rafała Ziembkiewicza – tak często trafiają na czołówki list sprzedaży. Jaskrawo sprzeczny jest z tym stan mainstreamu, który kręci się wokół własnego ogona, nie ma pojęcia, czego chce i obnosi się z tym jako ze swoją zaletą.

8. Niestety, po przemianach ustrojowych – do kraju gwałtownie wtargnęła zachodnia kultura obrazkowa. Jednak nie jej „obrazkowość”, antyliterackość jest jednak najgorsza, ale to, z czego ona wynika: przyniesiony wraz z kapitalizmem obłudny kult zaspokajania wszystkich swoich potrzeb, szczególnie najprymitywniejszych. Następuje więc równanie gustów, także literackich, w dół; w przeciwieństwie do ancien régime'u, gdy neutralny był przynajmniej stosunek do literatury samej w sobie (choć nie do tematów), „niewdzialna ręka rynku”, prawa i cała otoczką tego ostatniego (np. nieustanna propaganda w reklamach) – **nieustannie i agresywnie zwalczają nie tylko literaturę i jej czytelnictwo, ale także jakiegokolwiek formy samodzielnego myślenia**, próbując przekształcić człowieka w biernego odbiorcę proszków, mydeł i proszkowo-mydlanych filmów.

9. A jednak istnieje powód do optymizmu, i to dużego – wracam tu do myśli z pierwszego akapitu: czytają szlachetni snobi. Otóż – jak zauważył niejaki Piotr Bratkowski w niedawnym artykule w „Gazecie Wyborczej” – w przeciwieństwie do dzisiejszego chaosu społecznego, już w niedalekiej przyszłości powstanie w naszym kraju silna klasa średnia, traktująca regularne czytanie jako ważny element przynależności do swojej grupy społecznej i odróżniającej ją od innych. Nie będzie to literatura „ciężka”, bardzo skomplikowana – na to nowa publiczność nie będzie przygotowana – ale zbudowana atrakcyjnie, ciekawie i przekazująca w tej formie głębsze myśli o człowieku. Literaturą taką już w tej chwili jest fantastyka. Stąd już tylko krok do literatury bardziej ambitnej, a często równie (lub nawet bardziej) pasjonującej, nie popularna: do Kafki, Eco, Grassa...

10. Proces opisany w poprzednim punkcie jest dla mnie ideałem edukacji literackiej – bo też naprawdę warto edukować się czytelniczo, potwierdzając (tak, drodzy fantaci!) swoją przynależność do elity intelektualnej naszego kraju. Noblesse oblige – szlachectwo (no, z tym bym, oczywiście, za bardzo nie przesadzał...) zobowiązuje, a książki mogą być także – w przeciwieństwie do dzisiejszych zwyczajów – autorytetami, co było starą i dobrą tradycją. Czytać warto zresztą nie tylko dla pozytywnego snobizmu, ale przede wszystkim – dla wielkiej przyjemności!

Marcin Szklarski

## Co jest grane? (17)

### Co jest grane? (17)

(zapiski „staruchy” z sesji RPG słupskiego KS STRONG)

Istnieje taki szczególny rodzaj kontaktu między ludźmi, który różnie jest nazywany, ale mnie się podoba określenie *iskwienie*. Zjawisko to zachodzi między osobami bez względu na płeć, wiek, status społeczny, przyczynę i cel ich spotkania. Naturalnie, że iskry częściej pomiędzy tymi, którzy podziwiają zainteresowania, reprezentują zbliżony poziom intelektualny i hołdują tym samym hierarchiom wartości – ale nie są to reguły warunkujące ów fenomen. Z moich wieloletnich (oj, wieloletnich!) obserwacji wynika, że potrzebny jest tylko jeden wspólny mianownik między „iskrzącymi” – podobny rodzaj wrażliwości.

Iskwienie zwykle jest krótkie, przelatuje w ułamku chwili i jakby zapominamy o nim w chwili następnej, ale po latach potrafi przypomnieć się tym szczególnym szmerkiem, gdzieś w okolicy... serca (ci romantycy to mieli leeb...). Czasem iskrzy więcej niż chwilę. Jednak podsyćcie tego stanu naszą świadomością, która chce go jak najdłużej zatrzymać (bo to bardzo przyjemnie tak „iskrzyć”) nie przynosi efektów, ponieważ iskwienie do świadomości ma się nijak – wywodzi się ze sfer podświadomości i jakakolwiek ingerencja ze strony naszego rozumu nic tu nie jest w stanie zdziałać. Zostawmy zatem rozumowi zarejestrowanie, że właśnie „zaiskrzyło”, i tyle.

Termin *sprzężenie zwrotne* jak najbardziej pasuje do iskwienia – zawsze jest obustronne. I tym różni się na przykład od *zakochania*, które, jak wiadomo, bywa czasami nieodwzajemnionym uczuciem. Ale natężenie emocji i niepowtarzalność w każdym z zaistniałych przypadków są porównywalne z zawirowaniem zakochania.

Prawdopodobnie naukowcy potrafiliby ten fenomen wymierzyć encefalografami, obserwacją rozszerzania się źrenic, skokiem poziomu adrenaliny, badaniem pulsu. Ale spójrzmy na iskwienie w kontekście humanistycznym. Wiemy, że kiedy iskry, odczuwamy sens naszego istnienia wśród innych przedstawicieli homo sapiens, którzy na co dzień, podobnie jak my, pałają się samotnie po labiryncie życia niczym doświadczone szczury, obrywając guzy i penetrując z uporem maniaka korytarze, gdzie ryzyko guza będzie mniejsze (akurat!).

Iskwienie jest tak cudownym stanem, że szukamy go, jeśli nie wydarza się „samo z siebie”. I tu dochodzimy do meritum, bo w końcu w swoich felietonach poruszam tematy związane z grammi fabularnymi.

Trafiają się świetne, zgrane zespoły rolleplayujące od lat. Bywają znakomite scenariusze, barwne fabuły i wartkie akcje. Są utalentowani gracze i inteligentni mistrzowie gry. Jest multum Światów – do wyboru, do koloru – a jak nam nie odpowiada żaden z gotowych, wymyślamy sobie własne systemy. Są sesje bardziej i mniej udane; bardziej i mniej satysfakcjonujące zarówno mistrzów jak i graczy. Ale tak naprawdę chodzi o jedno – żeby zaiskrzyło. I w tym zapewne tkwi siła RPG. Jeśli pomiędzy nami wytworzy się ten rodzaj energii – do której wszyscy przecież jesteśmy zdolni, ale która jakoś rzadko jest z nas wyzwolana – to znaczy, że znaleźliśmy się wśród bratnich dusz, które nie wstydzą się otwarcie szukać w sobie pokładów emocji powodujących, iż nagle poczuwamy się kimś strasznie bliskim dla innej osoby. Choćby na parę sekund.

Zdarzyły mi się niedawno takie szczególnie silne momenty iskwienia. Dziękuję za nie Mistrzowi Igle i kolegom, z którymi w jego dramie na Nordconie 2000 przeżyłam to, o czym powyżej; nie ze wszystkimi, ale zainteresowani z pewnością wiedzą, o kogo chodzi (sprzężenie zwrotnie – rozumiecie). Czując właśnie ów specyficzny „szmerek w sercu”, pozdrawiam Was płomiennie.

(cdn.)

Ignis-Iskra





*Drogi PPJ!*

*Gdy ktoś poinformuje Cię, że Przewodas: a) kłamie, b) gwałci, c) podpala, d) łupi na gościńcu itd. – proszę zapytaj oskarżyciela o konkrety i dowody, a dopiero potem drukuj polemikę!*

*Pozdrawiam*

*Przewodas*



## SEANS

## PRZEWODASOTERAPII

Fandom ma raka. Objawy tej choroby widać przede wszystkim w obrębie prasy branżowej. Traci czytelników, zamyka się w niszach rynkowych, znika zdolność zdobywania nowych obszarów kultury. Główne przyczyny to upadek krytyki i przede wszystkim brak nowych pisarskich osobowości, które byłyby czymś więcej niż gwiazdami 2-3 sezonów. Organizm słabnie, zżerają go tkanki wynaturzone.

Guzem, który mam na myśli, umiejscowionym w obrębie "Magil i Miecza" oraz "Fenix" jest Klub Twórcuf. W zasadniczej swej masie, zwyczajem nowotworów, nie robi on nic, a w części aktywniejszej blokuje przepływ informacji, głównie recenzji. Owszem, mam w tej krytyce osobisty interes - recenzje z moich książek ukazują się regularnie już tylko w fanzinach i prasie zewnętrznej. Sprawne recenzowanie nowości i kształcenie młodych autorów to jednak nie tylko mój problem, dlatego stawiam tę sprawę.

Od kiedy Kołodziejczak obstawił dział recenzji "MiM", a Szejter "Fenix", mogę polegać tylko na "Najwyższym Czasie" i "Machinie". W obiegu branżowym znikam. Żebyż jeszcze była to zmowa i rozmyślina zła wola (jak w "NF"), byłoby w tym przynajmniej jakieś zamię wielkości, które możnaby nazwać polityką. Jednak nie, to efekt zwykłego lenistwa, abnegacji i braku odpowiedzialności za podjęte zobowiązania. Recenzja z "Tropu Kotołaka" w "MiM", nie ukazała się, bo książka zdaniem Kołodziejczaka była za długa by ją czytać. Bez znaczenia, że "MiM" drukował jej fragment i wypadałoby poinformować czytelników o stanie całości. W "Fenixie" recenzji nie było, bo Szejter nie lubi Ksina. Bez znaczenia, że lubią go czytelnicy, którzy swego czasu dali mu nominację do "Zajdla" i wykupili dwa pierwsze wydania (będzie trzecie). "Królowej Joanny D'Arc" spółka z KTFu też nie lubi, bo podobno za krótka... Oto przykład "tfurczego" podejścia do logiki. A oprócz mnie, ilu jeszcze autorów pominięto i olano? O ilu książkach nie dowiedzieli się czytelnicy "MiM" i "F"? Za to zawsze dokładnie informowano ich o twórczości "samych swoich" z ciepłego zaścianka KTFu. Zresztą wiele tego nie było...

Proszę tu zwrócić uwagę na następujące fakty; członkowie najstarszej - założycielskiej generacji KTFu: Ziemkiewicz, Kres, Kołodziejczak mają po kilka wydanych książek i nagrody Zajdla. Fala młodsza może poszczycić się tylko Szejterem i jego "Mitologią germańską", żadnych "Zajdli". Aktualny, najmłodszy nabór KTFu generalnie nie może wyjść poza druk pojedynczych opowiadań w "Fenixie". Idealna równia pochyła. Dalej będą grafomani, drukujący najwyżej w "Fantomie", a po nich przyjdą analfabeci oddający cześć boską okładkom książek Ziemkiewicza i Kresa.

Wyjaśnienie tego zjawiska jest proste; w latach 80. w KTFu istniały mechanizmy selekcji towarzyskiej i literackiej. Te pierwsze kryteria dominowały, ale drugie istniały realnie. Obecnie pozostały już tylko kryteria towarzyskie. W latach 80. wprawdzie można było kogoś ogłosić grafomanem z przyczyn interpersonalnych (jak mnie), ale też skutecznie zniechęcano autorów słabych i nieudolnych. W latach 90. żywym symbolem towarzyskiego systemu selekcji jest Adam Z. Bański - kliniczna wręcz miernota literacka - którego szczytowym osiągnięciem jest jeden średniej jakości szort w "Robimy rewolucję". Każde normalne środowisko literackie, taktujące poważnie swe powołanie, szybko usunęłoby takiego człowieka ze swego grona, ale nie Klub Tforcuf. Tam Bański osiągnął rangę "oficera", współdecydującego o doborze tekstów do "Robimy rewolucję". Z drugiej strony zaniedbano [tu wyraz niezrozumiały - red.] autorów obiecujących jak np. Aśka Kulakowska ("Trashka") i Łukasz M. Wiśniewski ("Łukas") - poważnie boję się o ich dalszy rozwój.

A prominentom KTFu wszystko wolno, zasady warsztatowe poszły w ką. Przykładem recenzja Szejtera z mojej "Joanny" w "Fantomie" z lipca 2000. Porównajcie ją z recenzją Michała Szklarskiego w "Informatorze" 139. W obu przypadkach główne zarzuty są te same, ale Michała ścigać zjadliwymi polemikami nie zamierzam. Michał nie zaprzeczał sobie, rozważał obiektywnie "za" i "przeciw". Przede wszystkim jednak różna jest forma obu krytyk! To właśnie forma szejterowej recenzji przelała czarę mojej goryczy wobec KTFu. Tak się bowiem złożyło, że w wieku lat 35 stałem się dziwnie wrażliwy na formę w jakiej zwracają się do mnie osoby młodsze wiekiem i dorobkiem (to chyba starość). Gdyby nie to, pewnie jeszcze kilka lat znosiłbym spokojnie lekceważenie moich książek, pełne wyższości uśmieški i niedotrzymane obietnice. I nie zacząłbym uważniej patrzeć Tforcom na zrakowaciale ręce. Z troglodytami trzeba po troglodycku, inaczej nie dotrze.

Przypomnę, że moja krytyka KTFu jest nie tylko werbalna i nie tylko spowodowana jedną złą recenzją (nie pierwszą wszak). Przez całe lata 90. tworzyłem alternatywę dla Klubu Tforcuf, która nie miałaby jego wad. Prowadziłem warsztaty literackie w społecznym liceum i rubrykę warsztatowo-literacką "Mówmy Prozą" w dwutygodniku "Cogito" (89 odcinków). Wyrósł tam Tomek Stawiszynski (publicysta i poeta) i Igor Cypriak (znacie z "NF"). Mam nadzieję, że z czasem wypłynie kilka innych nazwisk. Kończąc współpracę z "Cogito" wydałem podsumowującą antologię, a rubrykę przekazałem Liceu Poncyliusz - jednej z moich czołowych autorek. Doświadczania z 9 lat "warsztatowania" to temat mojej pierwszej publikacji naukowej w ramach doktoratu. To drzewo wciąż rośnie. Rubryka "Mówmy Prozą" przekształcała się w "Młodą Prozę". Klub Tforcuf zaś przekształca w Clubus Tremes.

Konrad T. Lewandowski

od PPJ

\* Nie mam zamiaru kneblować ust ani Przewodasowi, ani Tfurcom. Cały czas uważam, że każdy ma prawo się wypowiedzieć. Tym samym pewnie podpadnę równo i Konradowi, i Tomaszowi, i Arturowi. C'est la vie... Kontynuujcie; proszę Was wszystkich tylko o jedno: mniej epitetów, więcej argumentów!



## Mirosław Piotr Jabłoński BIOGRAFIA OFICJALNA

Urodzony 26.05.1955 w Zakopanem. W 1981 ukończył studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Krakowskiej. Słuchacz zaocznego Studium Scenariuszowego przy PWSFTiTV w Łodzi. Poeta i reportażysta. Swoje utwory publikował w „Życiu Literackim”. Jako autor SF debiutował opowiadaniem *Drzewo genealogiczne*, zamieszczonym na łamach „Nurtu” (nr 1, 1978) Drukował również w „Gazecie Krakowskiej”, „Problemach”, „Piśmie Literacko-Artystycznym”, „Fantastyce”. Jego debiutem książkowym była powieść *Kryptonim „Psima”* (Iskry, 1982) należąca do nurtu popularnej fantastyki socjologicznej, ukazująca rozpad społeczeństwa i możliwość przetrwania jednostki w chaosie złudnych wartości, ocen światopoglądowych. Z inspiracji wspomnianej książki oraz filmu *Ser P.P.* Pasoliniego powstał scenariusz filmu *Ga-ga, chwala bohaterom* Piotra Szulkina.

W roku 1986 ukończył Studium Scenariuszowe przy PWSFTiTV w Łodzi oraz ZF w Warszawie. W 1991 roku – po wygraniu (wraz z 7 innymi osobami) ogłoszonego przez Ośrodek Telewizji Kraków konkursu – uczestniczył w tworzeniu założeń literacko-artystycznych nie zrealizowanego serialu *Kraków* (kier. lit. Marek Sołtyś).

Publikował opowiadania w „Fantastyce”, „Nowej Fantastyce”, „Fenixie”, „Piśmie Literacko-Artystycznym”, „Problemach”, „Przeglądzie Technicznym”, „Młodym Techniku”, węgierskiej „Galaktice”.

Słuchowisko M.P.J. *Marikut* zostało zakupione i wyemitowane przez IV program PR.

Pozycje książkowe: debiut powieściowy *Kryptonim „Psima”*, Iskry, 1982; zb. opow. (wspólny z A. Drzewińskim) *Posłaniec*, Nasza Księgarnia, 1986; powieści *Schron* (emitowana w interpretacji Jana Nowickiego w III programie Polskiego Radia) oraz *Nieśmiertelny z Oxa*, wyd. „Glob”, obie z 1987; powieść *Trzy dni Tygrysa*, Iskry, 1987; zbiór opowiadań *Czas Wodnika* Iskry, 1990; powieści *Dubler* i *Duch czasu*, wyd. Białowieża, obie 1991; powieść *Elektryczne Banany*, wyd. SR, 1996; fragmenty tekstów w antologiach SF pod redakcją Wojtka Sedeńko *Wizje alternatywne*, ARAX, 1990; *Czarna msza*, D.W. REBIS, Poznań 1992 – w antologii tej zamieszczone było opowiadanie *Spotkanie na końcu drogi*, *Wizje Alternatywne 2*, wyd. ZYSK i Sp-ka, 1997.

Powieść *Duch Czasu...* została wznowiona przez Agencję Promocji Książki „Solaris” w maju 2000.

Obecnie tłumacz literatury z języka angielskiego; dla wyd. ZYSK i Sp-ka przełożył Jonathana Carrola *Na pastwę aniołów* (1994, wyd. II 1997, wznowienie REBIS 2000) oraz większość opowiadań z tomu *Upiorna dłoń* (1995, wznowienie REBIS 1998); Jonathana Lethema *Pistolet z pozytywką* (1998) i *Amnesia Moon* (1998); Jima Carrolla *Przetwać w Nowym Jorku* (1997); Carla Sagana *Kontakt* (1997); trylogię fantasy Rogera Zelazny'ego i Roberta Sheckleya *Przyniescie mi głowę księcia* (1995), *Jeśli w Faustem ci się nie uda* (1995), *Farsa z którą należy się liczyć* (1996); Richarda Caldera *Martwe dziewczyny* (1998); dla wyd. AMBER biografie Louisa Armstronga pióra Jamesa Lincolna Colliera (1997); dla wyd. „Prószyński i Sp-ka” Evelyn Anthony *Dom Vandekara* i *Kryjówkę* oraz *Cmentarz bezimiennych* Patricii Cornwell (1998); powieść *Mgnienia* Lewisa Shinera, ZYSK i Sp-ka, 1999; opowiadania z tomu *Czarnoksiężnicy z dziwaczного grodu* – Raya Bradbury'ego *Dynks*, Fredricka Browna *Pierścień Hansa Carvela* oraz Isaaca Asimova *Playboy* i *Śluzowaty Bóg* (1999); powieść Lewisa Shinera *Mgnienia* (ZYSK i Sp-ka, 1999); *Shelter Skelter – Sprawa Mansona*, (Prószyński i Sp-ka, 1999); Tima Powersa *Ostatnia odzywka* (ZYSK i Sp-ka, 2000); Jacka Danna *Katedra Pamięci*, (MUZA 2000).

Debiutanckie opowiadanie *Drzewo genealogiczne* znalazło się w zbiorze opowiadań pod red. Wolfganga Jeshke *Die Pilotin*, który jest wyborem najlepszych opowiadań SF świata wydawnictwa HAYNE VERLAG za rok 1994.

Obecnie sekretarz redakcji polskiej edycji miesięcznika HUSTLER.

Od redakcji: Mirku, liczymy też na biografię nieoficjalną.



Andrzej Zimniak

## Gawęda autobiograficzna (1) Moje rekordy

Życiorysy literackie mają to do siebie, że bywają sztampowe: "urodziłem się o poranku, już w szkole miałem łatwość, zacieranie papieru stało się odruchem, opisywałem wszystko co się rusza i stoi, starałem się wyeksponować niuanse i historyczne szanse, zapisałem 10 tysięcy stron, publikowałem w 25 wydawnictwach, iksiński mędrkował i okazał się idiotą, a Igrekowski idiotą był zawsze". Mógłbym powypełniać te rubryki, ale wolę w tym miejscu zaszerwować wam inny pasztet: opowiem głównie o swoim życiu pozaliterackim, o swoim "zwiedzaniu świata", pozostawiając twórczość beletrystyczną w bliższym lub dalszym tle. Moje opowieści ułożę w tematyczne działy.

W tym odcinku będzie o rekordach Zimniaka. Niestety, żałuję, ale nie pobitem żadnego rekordu świata, za to ustanowiłem swoje własne, i o kilku z nich wam teraz opowiem.

Zapamiętałem trzy pochwały moich osiągnięć sportowych. Jak miałem sześć lat, jakaś babcia lubiła obserwować, jak biegam. Mówiła na zmianę: "no, pobiegnij jeszcze, chłopczyku, tam do końca alejki", a za chwilę: "nie biegaj tak szybko, uważaj, bo to szkodzi na serce". Lubiłem biegać, zawsze wyprzedzałem rówieśników, a powietrze wspaniale świstało mi koło uszu. Drugą pochwałę dostałem od nauczyciela WF-u (wychowania fizycznego, jakby kto nie wiedział) w Berlinie – mieszkałem w tym mieście przez trzy lata – a więc ów nauczyciel prorokował mi udział w olimpiadzie w Mexico City, pod warunkiem, że wezmę się ostro za trening. Miałem czternaście lat i ani mi w głowie było trenowanie, ale za rok o mało nie zdobyłem mistrzostwa młodzików Berlina – szanse były spore, lecz trochę zbagatelizowałem sprawę, rozglądałem się ciekawie z dołków startowych i źle rozpocząłem bieg. Jednak falstartu nie odwołano i już nie dałem rady nadrobić wszystkich straconych metrów.

W wieku lat szesnastu wciąż byłem cholernie szybki, wygrywałem wszystkie biegi, w których startowałem, na dystansach od 60 do 3000 metrów. Pamiętam, że robiłem sobie żarty: koledzy startowali do sprintu, a ja pozostawałem na starcie, aż dotarli do trzeciej części dystansu, potem zrywałem się "do lotu", powietrze raptem stawało się gęste, bez trudu wyprzedzałem towarzystwo i dopadałem do mety na wiele metrów przed pierwszym "szybkobiegaczem". Albo ścigałem się ze swoim przyjacielem Zyziem; ja biegłem tyłem, a on normalnie. Oddawał się dość wolno, więc mogłem obserwować, jak na jego twarzy odciskają się w równym stopniu heroiczny wysiłek i złość.

Wtedy, gdy miałem szesnaście lat, osiągałem także niezłe rezultaty w skokach wwyż i w dół, a gdy przy jednym z nauczycieli w ciągu kilku minut nauczyłem się stać na głowie, spontanicznie nazwał mnie "geniuszem sportowym", i to była trzecia z pochwał, jakie anonsowałem na wstępie, i zarazem ostatnia. Oczywiście grubo przesadził, bo np. nigdy nie potrafiłem zrobić porządnego mostka, nie posiadałem umiejętności gier zespołowych ani sztuki walki. Owszem, chodziłem na kurs judo, ale ani tego nie lubiłem, ani specjalnie nie byłem w tym dobry. Nie znosiłem, jak mnie rzucali – zdecydowanie wolałem sam rzucać – i po kilku miesiącach wypisałem się, nie zdobywszy żadnego "kiu".

Pod koniec szkoły biegano mi się coraz gorzej, nie mknąłem już jak niegdyś, nogi coraz mocniej trzymały się ziemi. Wciąż byłem niezłym biegaczem, ale gdy miałem osiemnaście

lat, już nikt nie typował mnie do olimpiady. Rzecz ciekawa: podobny rozbłysk talentu sprinterskiego miał miejsce u mojej córki Martusi, która w wieku 13 lat zostawiała daleko za sobą wszystkich ze szkolnej klasy, a także całej szkoły, nie wyłączając młodocianych bysiów-kulturystów! Jednak po upływie roku wszystko wróciło do normy, a chłopcy odetchnęli z ulgą i przestali pokazywać ją sobie palcami. No i kto mi powie, że to nie sprawa genów? Taki dziedziczny programik uruchamia się w określonym wieku, aby po pewnym czasie ni stąd ni zowąd się wyłączył.

Jednak tak zupełnie to on nie przestał działać, sędzę, że wciąż jestem w stanie zakasować niejednego młodego. Także bez większego trudu, jak przypuszczam, mógłbym zostać mistrzem sprinterskim polskich pisarzy fantastów, no, powiedzmy, honorowym, bo z nikim nie mam zamiaru stawać na bieźni, żeby sprawa była jasna. Wtedy może wreszcie zdobyłbym jakąś statuetkę, odlewana, lupaną czy lutowaną. No bo kto mógłby mi zagrozić? Przecież nie Ingłot, który ostatnio jeszcze bardziej się rozwinął, bo dla niego gnałbym z prędkością nadświetlną albo wręcz w hiperprzestrzeni, również nie wierzę w rączy bieg Sapka czy Przewodasa. Pewne zagrożenie wyczuwam ze strony Okołodziejczaka, ale jest on z kolei za wielki, a koszykarze nie bywają, jak wiadomo, nadzwyczajnymi sprinterami. Niewiadomą pozostaje Kres, bo facet jest zwarty i dobrze umięśniony, ale to jeszcze nie wszystko, wszak nie zawsze jest się tym, na kogo się wygląda.

Pora na zmianę konkurencji – zostawmy bieźnię i przejdźmy do... wody. Lubię ten żywioł, ale wystrzegam się basenów, woniejących chlorem i z reguły zatłoczonych. Wolę dużo wody, najlepiej całe morze, na dodatek ciepłe. Nie, nie przepłynąłem żadnego morza, ani wplaw, ani na tratwie czy kajakiem, takie zabawy zostawiam sobie na później, hm, na emeryturę. Jednak jak już jestem nad jakąś przyjazną wodą, zaraz się z nią bratam i spędzam w niej całe godziny, płynąc powoli i wpadając w stan bliski nirwany. Jednak do tego dzień musi być słoneczny, a woda przejrzysta – wtedy widzę na dnie swój cień, a głębia, jak każdy może się przekonać, nie roi się od potworów. Kiedyś chciałem sprawdzić, jak daleko mogę płynąć – po trzech kilometrach znudziło mi się i wyszedłem na brzeg. Nie dlatego, że bym się zmęczył, bo po aklimatyzacji nie męczę się bardziej niż przy chodzeniu, ale po prostu zachciało mi się jeść, więc zabawa trwała zbyt długo (może powinienem brać ze sobą kanapki i termos, jak na wycieczkę).

Zupełnie inną sprawą jest nurkowanie. To wspaniała rzecz, i do tematu wrócę kiedy indziej, bo jest on tego wart. Tu tylko wspomnę o swoich osiągnięciach, które, oczywiście, nie są żadną rewelacją dla nurków wyczynowych. Kiedyś zanurzyłem się na głębokość piętnastu metrów, oczywiście bez aparatu do oddychania, płynąc w płetwach i masce wzdłuż linki, wykalibrowanej co metr. Było to dawno, w historycznych czasach realnego socjalizmu, i wtedy jeździło się na urlopy do Bułgarii nad Morze Czarne. Woda nie była tam specjalnie klarowna, więc płynąc w dół nie widziałem dna, tylko zielonoburą głębię. Nagle przejaśniało – to światło odbijało się od piasku. Chwyciłem garść, żeby udowodnić, że osiągnąłem cel, i puściłem się ku powierzchni, bo zaczynało brakować oddechu. Linkę straciłem z oczu, i w pewnym momencie nie widziałem ani dna, ani powierzchni, tylko metnozielony przestwór wokół. Nagle odczułem paniczny strach: czy ja aby płynę do góry? Nie przyszło mi na myśl, żeby wypuścić kilka pęcherzyków powietrza i podążyć za nimi, w ogóle nic nie przychodziło mi na myśl, tylko zacząłem się szamotać. I byłoby kiepsko, bo kto za mnie napisałby kawałki o Enkelu? Może on sam i jego zgredy dały mi impuls, bo wtem za zielonkową mgłą pojawiło się lustro powierzchni i kadłuby roweru wodnego, do którego biegła zgubiona linka. Rzuciłem się w tamtą stronę, bo w płucach niezłe już mnie paliło, i przygoda skończyła się happy endem. Piętnaście metrów to niewiele w poziomie, a w pionie tyle, co 4–piętrowy budynek.

W poziomie przepływałem pod wodą ok. 40–50 metrów, poruszając się na głębokości 2 do 3 metrów. Będąc tak płytko nie odczuwałem "stresu oddechu", bo w każdej chwili mogłem się wynurzyć, a więc pozostawałem pod wodą do ostatniej chwili. Lubiłem też robić

kawaty – kiedyś w wodzie głębokiej po pas pokazywałem dziewczynie, jak się nurkuje, a w pewnej chwili zanurkowałem ukosem i popłynąłem w morze. Widziała mnie pod wodą, niknącego w głębinie. Poczekala kilka minut, wyszła na brzeg, usiadła i nie mogła się zdecydować, czy zacząć popłakiwać, czy lepiej biec po ratownika. Jak tak siedziała, zaszedłem ją od tyłu i poglaskałem po główce – i wtedy dostałem w pysk. Cóż, dziewczuszka nie знаła się na dowcipach. A ja tylko popłynąłem w morze, na głębokości kilku metrów zakreśliłem wzdłuż brzegu, potem jeszcze raz do brzegu i spokojnie wyszedłem na plażę, tyle że w trochę innym miejscu.

Teraz z jeszcze innej beczki. Były biegi w poziomie, nurkowanie w głąb, pora więc na zdobywanie szczytów. Uwielbiam góry, bo tam mogę podziwiać widoki rzadkiej urody, czuć ogrom przestrzeni, obserwować zjawiska, o jakich nie śniło się nizinnym szczurom. Kiedyś napiszę o tym osobno, bo tutaj zadałem sobie opisywanie rekordów. W Tatrach, które nawiedziłem już chyba kilka dziesiątków razy – aż wstyd się przyznać, nie zdobyłem ani Rysów, ani Giewontu, bo za duży tam tłok. Gwoli wyjaśnienia: nie wspinał się, tylko chodzę po normalnych szlakach, także tych trudniejszych, ale wciąż jeszcze turystycznych. Jeśli się da, nawet wjeżdżam na górę samochodem i dopiero stamtąd robię wycieczkę – nie stronię od "cywilizacyjnego wspomaganie". W taki właśnie sposób pobiłem swój rekord w zdobywaniu szczytów. Będąc na naukowym stażu w USA w roku 1977 wybrałem się na miesięczną podróż po kraju. W stanie Colorado pojechaliśmy boczną drogą na Mount Evans w Górach Skalistych. Myślałem, że zaraz trzeba będzie zostawić samochód i dalej wspinać się pieszo – ale gdzie tam, w Ameryce przyroda jest dla ludzi, a nie odwrotnie. Jechaliśmy przez lasy szpilkowe, ogromne zielone hale, zatrzymywaliśmy się przy wspaniałych jeziorach o ciemnej, przejrzystej toni, których brzegi porastały półmetrowe kępy traw z liśćmi cienkimi jak bicze. Było coraz chłodniej, choć słońce piekło, wyciągaliśmy z bagażnika wciąż nowe dodatkowe ubrania. Potem lasy ustąpiły miejsca halom pełnym skał, pokrytych rdzawymi porostami. Wąska szosa wila się trawersami po zboczach, nieraz czulem ciarki na grzbiecie, zwłaszcza podczas mijanek z wielkimi przyczepami kempingowymi, gdy po drugiej stronie całe okno wypełniało niebo pełne chmur. Ale wreszcie dojechaliśmy, silnik starego chevroleta syczał i trząsał, a na nas po otwarciu drzwi powiało mroźne powietrze. Wysokość 14 260 stóp, czyli 4 350 metrów npm, niewiele mniej niż Mont Blanc. Tak, to był mój rekord wysokogórskiej "wspinaczki", dotychczas niepobity. Było fajnie: widoczność wspaniała, śnieg na odległych szczytach błyszczał w słońcu, nieco wyżej stacja meteorologiczna, a obok amerykański gwarek turystyczny i zapach hot-dogów.

Moi mili, to nie wszystkie moje rekordy, ale o tych innych nie będę wam opowiadał, bo klawiatura za bardzo się rozgrzeje. Chyba że kiedyś przy piwie, na jakimś sympatycznym konwencie.



Warszawa, 18 stycznia 2001

*Inne wątki biograficzne, i nie tylko,  
prezentuję na swojej stronie "zimniak.art.pl"*



## PRZEDŚWIĄTECZNY DYSKURS O ZABIJANIU KARPIA

(z życia wzięte)

- Jasio P.P.: Nie zabiłem i nie zabiję karpia! Nigdy w życiu! Nie potrafię!..  
 Kasia N.: Ależ to nic trudnego! Wystarczy wziąć młotek lub pałkę, wałnąć w łeb – i po wszystkim...  
 Jasio P.P.: Mówiąc „nie potrafię” nie miałem na myśli „technologii” zabijania tej nieszcześnie ryby, lecz sam fakt – w oczy nie mógłbym mu spojrzeć!  
 Janusz Z.: No to wydlub mu je najpierw – a potem już wal bez oporów!  
 Basia F.: Ale to byłoby marnotrawstwo – właśnie oczy najefektniej prezentują się w galarecie!  
 Jasio P.P.: Psychopaci! Choć właściwie nie jestem lepszy... Gdybym w ogóle nie jadał zwierząt, to co innego... A tak – to tyle tylko, że sam nie ich nie zabijam; ale gdy ktoś inny – to i owszem! Zresztą... Kurczakowi lba też nie utnę, lecz z broni palnej to może nawet bym się przemógł – i co do kurczaka, i co do karpia... Bo to bardziej „abstrakcyjne”, jak w jakiejś grze...  
 Janusz Z.: Wymyśliłem co robić z tymi oczami i galareta!!! Wszystko da się pogodzić – nie wydlubujemy oczu, tylko przebijamy szpikulcem nerwy wzrokowe...



### GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

### INFORMATOR

# 141

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

E-MAIL: gkf @ gkf.3miasto.pl

STRONA: www.gkf.3miasto.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Tytus K. Mikołajczak (Internet), Krzysztof Papierkowski, Grzegorz Szczepaniak, Michał Szklarski

GRAFIKI: Andrzej Dobrzyński (17), Radosław Kleczyński (13), Heidi Koch (5), NN (3,10), Sławomir Wojtowicz (23), Piotr Terszel (4, 6, 7, 9, 18, 19, 21, 24)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 10201853-237451-270-1

Nakład 500

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji